

Teatr okrucieństwa

Terry Prachett



calibre 0.9.27

Terry Pratchett

Teatr okrucienstwa

"Teatr okrucienstwa"

Był piękny letni poranek. W taki dzień człowiek aż się cieszy, że żyje. Człowiek leżący na ziemi zapewne również chciałby się tym cieszyć – był jednak martwy. Tak martwy, że bycie w choć minimalnie większym stopniu martwym wymagałoby przejścia specjalnego szkolenia.

–Dobrze – powiedział sierżant Colon (straznik, Straz Miejska Ankh-Morpork) – Jak dotąd ustaliliśmy, że przyczyna zejścia było: a) pobicie na śmierć co najmniej jednym tępym narzędziem, b) uduszenie petem kielbasek, c) atak przynajmniej dwóch dzikich zwierząt o długich, ostrych zębach. I co teraz, Nobby?

–Teraz aresztujemy podejrzanego, panie sierzancie! – zawołał kapral Nobby, salutując.

–Podejrzanego, Nobby?

–Znaczy, jego – wyjaśnił Nobby, tracając zwłoki czubkiem buta – Jak dla mnie, to takie leżenie trupem posrodku ulicy wygląda bardzo podejrzanie. W dodatku podejrzanym był. Moglibyśmy go aresztować za niechlujstwo i za nieżywołność.

Colon podrapał się w głowę. Aresztowanie zwłok miało, oczywiście, pewne plusy. Jednak...

–Cos mi się widzi – powiedział powoli – że kapitan Vimes chciałby, żeby te sprawę załatwić. Zabierz no lepiej to ciało do wartowni, Nobby.

–A potem będziemy mogli zjeść kielbaski, panie sierzancie? – spytał kapral Nobbs.

Żywot najstarszego stopniem policjanta w Ankh-Morpork, najwspanialszym z miast Świata Dysku*, nie był usłany rozami. Czasami, gdy kapitana Vimesa nachodził pochmurny nastrój, myślał sobie, że gdzieś tam zapewne istnieją światy bez czarnoksiężników (przez których zagadki zamkniętych pokojów były na porządku dziennym) i bez zombich (śledztwa w sprawie morderstwa wyglądały naprawdę dziwnie, gdy ofiara była jednocześnie głównym świadkiem), i gdzie można było być pewnym, że psy nie będą niczego robić nocami ani nie zaczną sobie ucinąć z ludźmi pogawedek. Kapitan Vimes wierzył w logikę. Wierzył w nią mniej więcej w ten sam sposób, w jaki człowiek na pustyni wierzy w lod – innymi słowy, traktował ją jak rzecz niezbędną, lecz nie pasującą do świata, w którym przyszło mu żyć. "Jak dobrze byłoby choć raz w życiu coś naprawdę rozwiązać" – pomyślał.

Spojrzał w swoją twarz leżących na kamiennym stole zwłok i poczuł dreszczyk emocji. W tej sprawie istniały autentyczne ślady. Nigdy wcześniej nie zetknął się ze

śladami z prawdziwego zdarzenia.

–Tego nie mogli zrobić rabusi, panie kapitanie – oznajmił sierżant Colon – Dlatego że kieszenie zwłok są pełne pieniędzy. Jedenastę dolarów.

–Nie nazwałbym tego "kieszeniami pełnymi pieniędzy" – zauważył Vimes.

–Pełne, bo to były monety, panie kapitanie. Same drobiazgi. Aż dziwne, że jego spodnie to wytrzymały. W toku śledztwa ustaliłem również, że pracował w showbiznesie, panie kapitanie. W kieszeniach miał wizytówki – "Chas Slumber – Rozrywki i Przedstawienia dla Dzieci".

–Jak sądzę, nikt niczego nie widział? – spytał Vimes.

–Coż, panie kapitanie – wyjaśnił zawsze skory do pomocy sierżant Colon – kazałem młodemu Carrotowi znaleźć paru świadków.

–Kapralowi Carrotowi? Wysłaliście go, żeby sam prowadził śledztwo w sprawie morderstwa? – zapytał Vimes.

Sierżant podrapał się po głowie.

–No, wtedy on mnie spytał, czy znam kogoś starego i schorowanego...

W magicznym Świecie Dysku zawsze znajdzie się jeden świadek każdego morderstwa. Ostatecznie taka właśnie ma praca.

Konstabl Carrot, najmłodszy członek Straży Miejskiej Ankh-Morpork, często sprawiał na ludziach wrażenie prostodusznego. I właśnie taki był – człowiek o prostej duszy, ale prostej w ten sam sposób, w jaki prosty jest miecz albo atak znieczuś. Oprócz bycia prostodusznym, był również prostolinijski; był najprawdopodobniej najbardziej prostolinijszą osobą w dziejach wszechświata. Jego myśli dążyły bowiem do celu po najprostszej z możliwych dróg – linii prostej.

Konstabl stał właśnie przy łóżku staruszka, który najwyraźniej cieszył się z jego towarzystwa. Stał tam już przez pewien czas – i właśnie w tej chwili nadeszła pora na wyjście notatnika.

–Wyjaśnijmy to sobie od razu, proszę pana – powiedział – Wiem, że coś pan musiał widzieć. Był pan na miejscu zbrodni.

–COŻ, W RZECZY SAMEJ, BYLEM – odparł Smierc – I TAMTO NALEŻAŁO DO MOICH OBOWIĄZKÓW. ALE TO JEST ZDECYDOWANIE NIEZGODNE Z ZASADAMI...

–Widzi pan – powiedział kapral Carrot – sadze, ze w swietle prawa nie tylko byl pan na miejscu zdarzenia, ale i pomogl pan przestepcy. Przed lub po zdarzeniu.

–MŁODY CZŁOWIEKU – JA JESTEM TYM ZDARZENIEM.

–Ja zas jestem strozem prawa – odparl kapral Carrot – Prawo musi istniec i powinien pan to rozumiec.

–CHCIALBYS, ZEBYM... EEE... WYKABLOWAL KOGOS? ZEBYM CI KOGOS WYSTAWIL? ZABAWIL SIE W KANARKA? NIE. NIKT NIE ZAMORDOWAL PANA SLUMBERA. NIE MOGE CI W NICZYM POMOC.

–No, nie bylbym tego taki pewien, prosze pana – powiedział Carrot – Sadze, ze wlasnie pan mi pomogl.

–CHOLERA.

Smierc odprowadzil Carrota wzrokiem. Kapral pochylil glowe, schodzac waskimi schodami prowadzacyimi do wyjścia z chatki.

–GDZIE TO JA BYLEM...

–Przepraszam bardzo – odezwal sie zasuszony staruszek z lozka – Ja mam 107 lat. Nie moze tak sterczec przez caly dzien.

–ACH, TAK, RACJA.

Smierc naostrzyl kose. Po raz pierwszy pomogl w pracy policji. Ale ostatecznie kazdy mial jakas prace do wykonania.

Kapral Carrot szedl przez miasto spacerowym krokiem. Wymyslil Teorie. Przeczytal kiedys ksiazke o Teoriach. Dodawalo sie do siebie wszystkie slady i otrzymywalo Teorie. Wszystkie elementy musialy do siebie pasowac. Skoro zas byly kielbaski, to musial byc tez ktos, kto je kupil. Poza kielbaskami byly tez drobne pieniadze – a zwykle tylko jedna podgrupa ludzkiego gatunku placi drobnymi.

Po drodze wstapil do masarni. Napotkal tez grupke dzieci i przez chwile z nimi rozmawial. Potem, nie spieszac sie, wrocil do alejki, w ktorej kapral Nobbs skonczyl zaznaczac kreda obrys ciala. Oprócz tego, Nobby pokolorowal obrys, dorysowal mu fajke w ustach i laske w rece, a do tego dodal pare drzew i krzaczkow w roli tla – przechodnie zas zdazyli juz wrzucic do helmu kaprala siedem pensow. Carrot skierowal sie w koniec alejki. Tam przez chwile przygladal sie sporej stercie smieci, a nastepnie przysiadl na popekanej beczce.

–W porzadku... mozece juz wyjsc – powiedzial, nie kierujac swych slow do nikogo w szczegolnosc – Sadzilem, ze na swiecie nie ma juz krasnoludkow.

W stercie smieci dal sie slyszec jakis ruch – a potem wyszli z niej. Maly, przygarbiony czlowieczek w czerwonej czapie i z zakrzywionym nosem, malenka kobieta w ozdobnym kapeluszu na glowie i o wiele mniejszym od siebie dzieckiem na reku, miniaturowy policjant, pies z obroza wokol szyi, a wreszcie bardzo niewielki aligator.

Kapral Carrot siedzial i sluchal.

–On nas do tego zmusil – powiedzial maly czlowieczek. Mial zaskakujaco gleboki glos – Bil nas. Nawet aligatora. Tylko tyle potrafil – uderzac wszystkich kijem. Zabieral tez wszystkie pieniadze, ktore zebrał piesek Toby, i upijal sie za nie. A potem ucieklismy, a on zlapal nas w alejce i zamierzyl sie na Judy i na dziecko, i przewrocil sie, i...

–Kto pierwszy go uderzyl? – spytal Carrot.

–My wszyscy!

–Ale niezbyt mocno – powiedzial Carrot – Jestescie za mali. Nie zabiliscie go. Mam niepodwazalne zeznanie swiadka, ktory moze to potwierdzic. Dlatego przyjrzałem sie jeszcze raz trupowi – on sie udlawil. I dlatego umarl. A to – co to takiego?

Pokazal im maly skorzany krazek.

–To zlopek – powiedzial maly policjant – Robil nim glosy. Mowil, ze nasze nie sa wystarczajaco smieszne.

–W taki sposob powinno sie to robic! – oznajmila mala Judy.

–Mial to w gardle – powiedzial Carrot – Sugeruje, zebyscie uciekli. Tak daleko, jak mozece – i nie dalej.

–Myslelismy o zorganizowaniu spoldzielni – oswiadczył pierwszy krasnoludek.

–Wie pan... dramat eksperymentalny, teatr uliczny... takie wlasnie rzeczy. Zamiast bicia sie nawzajem kijami.

–Biliscie sie kijami na pokazach dla dzieci? – spytal Carrot.

–On mowil, ze to nowy rodzaj rozrywki. Ze to szybko chwyci.

Carrot wstal i wyrzucil zlopek na sterte smieci.

–Ludzie nigdy czegos takiego nie zaakceptuja – oznajmil – Nie powinno sie w taki sposob tego robic.

*** Swiecie, ktory jest plaski i plynie poprzez wszechswiat na skorupie ogromnego zolwia – bo wlasciwie czemu nie.**

"Teatr okrucienstwa" zostal pierwotnie napisany jako opowiadanie dla magazynu "Bookcase" W. H. Smitha. Powyzsza, poszerzona wersje opowiadania wydrukowano pozniej w programie zlotu OryCon 15.

Istnienie tej wersji opowiadania jest mozliwe dzieki szczodrobliwosci autora, ktory dopuscil swe dzieło do rozpowszechniania w sieci i jednocześnie zastrzega sobie do niego wszelkie prawa. Jak ujal to sam Terry Pratchett: "Nie chce go widziec rozpowszechnianego w druku, ale nie mam nic przeciw temu, by ludzie sciagali je sobie z sieci dla wlasnej przyjemnosci".

Przelozyl Jaromir Krol.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-01

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/